



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

Niech się gniewa, czy się nie gniewa na mnie szanowny pan Michał, ale muszę wzrok swój skierować w stronę nieba i z westchnieniem opuścić go na ziemię.

— O pogodno! mimowolny okrzyk z piersi mi się wyrzywa.

Sprzyskrzyła się już zima, sprzyskrzyła się ta niepewna walka między chłodem a ciepłem, to mocowanie się dni wiosennych z niechęcią ustąpić z piedestału swojego, rozpanoszoną od tak dawna zimą, zapasy jednak muszą się skończyć i wiemy po czyjej stronie zwycięstwo będzie.

Nie ustępuje się jednak z raz zajętego stanowiska bez oporu. Opór może być silniejszy lub słabszy, walka więcej lub mniej okrutna, to już zależy od mocy przeciwnika i moralności zasad ustępującego z placu boju.

Obecnej wiosnie brak widocznie sił ku ostatecznemu zniaczeniu wroga, zima zaś jest stanowczo niemoralna.

Bo, proszę państwa — ustąpić musi, to pewna! Żadna potęga nie powstrzyma nurtujących soków we wnętrzu ziemi, nabrzmiałe pączki drzew rozwijając się muszą i zaszumić baldachimem liści, kwiaty tysiącami aromatów ku niebu westchnąć, zieleniać okryć się polą, pieśnią ptaków odezwać się lasy, motyle wionąć tęczą barwami, ptaki wyfrunąć z gniazd swoich, tysiąc sere uderzyć w zmęczonych klatkach piersi ludzkich i tysiąc nowych myśli się poruszyć — to wszystko być musi i o tem wie bardzo dobrze pani zima, a jednak zamiast ze spokojną rezygnacją odejść, spełniwszy godnie zadanie swe: mści się okrutnie na ludziach i nie ludziach za ten niecnotny wyrok losu, za tę konieczność śmierci i zapomnienia.

— Nie zapomniecie mnie tak łatwo, niegodziwey! pomyślała sobie, dam się wam jeszcze we znaki, za nim krzyżyk za moimi położycie plecami.

I wzięła się do nieszczęśliwego rodu ludzkiego.

— Co tam słyhać, panie dobrodziejku?

— Szpital w domu, powiadam panu, żona od tygodnia leży na *influenzę* chora, a dzisiaj dwoje dzieci już się położyło.

— Jakże zdrowie szanownej pani?

— Od paru dni dopiero wychodzę, ale za to mój mąż nieborak skarży się na ból w kościach i bezwątowania do łóżka się położy.

— Co tak panna wygląda jak *ślidz* marynowany? — pyta stróż pokojówkę z pierwszego piętra.

— Niechby pana Konstantego tak *flumenca* stłukała — to pan Konstanty by wyglądał jak leszcz śnięty.

Nazajutrz Konstanty zastękał.

Słowem, kto wierzy i nie wierzy w Boga, na *influenzę* choruje, chorował lub chorować będzie. Ludzie chodzą skwaszeni, baterie flaszek wypełniają stoły apteczne, panowie lekarze liczą rublówki, a niegodziwa zima szepce sobie pod nosem:

— A będziecie o mnie pamiętali?

Nie więc dziwnego, że dobry humor opuścił niejedno stworzenie boże, że wierszokleci piszą rymy od siedmiu boleści, a panowie wydawcy zmniejszają co chwila honorarium autorom, dbając o zdrowie rekonwalescentów, którym po przebytej chorobie niezbędna jest dyeta.

— Nie objedzą się, choćby chcieli — szepcą mecenasi piśmiennictwa naszego.

Czy to nie jest rozrzewniające?

Bądź co bądź, choć owa choroba, nosząca pięknie brzmiące nazwisko *influenzy*, nie należy do rozkośnego życia ludzkiego i stanowczo na zepsucie się dobrego humoru wpływa, nie wszystko jej wpływem wytłumaczyć da się i są rzeczy, które z nią czy bez niej, muszą być oddane pod pręgierz opinii publicznej, która nie kierując się żadnymi względami

i względnikami, powinna stać wyżej nad wszelkie słabości i jasny a stanowczy sąd swój wydać.

Z przykrością dotykam tu pewnego wypadku o którym zamilczećbym wolał i rzucić w niepamięć, gdyby, jak każde złe, zarażającym nie był i nie wymagał w niektórych punktach jasnego zrozumienia sprawy. Szanowni czytelnicy pism codziennych, bez kłódnienia przezmienie kropki nad i domyślą się o czem mam mówić. Stał się fakt szkaradny: napad dwóch na jednego i to gdzieś nie za rogatkami grochowskimi dokonany, nie przez ludzi, którym wiele do serca i mózgow włożyć jeszcze potrzeba, nie w chwili jakiejś karczemnej sprzeczki, która była powodem ekscesu — nie — niestety! Świadkiem bezprawia była Włodzimierska ulica, napadającymi — literaci, napadniętym — dziennikarz — przyczyną, obrażoną dumą autorską za ostro skrytykowane dzieło.

Nie będziemy przebiegali całej sprawy, znanej dobrze ogółowi naszemu, nie wymienimy nawet nazwisk, co czynimy dla oszczędzenia sobie przykrości, bo wśród tych nazwisk płacze się jedno, które szanowaliśmy zawsze. Chcemy tu tylko zwrócić uwagę na fakt *obrazy autorskiej* i nadmienić nieco o etyce *samowolnego wymiaru sprawiedliwości*.

Niektórzy panowie autorowie nasi są nazbyt drażliwi i ostrą krytykę dzieł swoich biorą za osobistą obrazę. Co mówi ten gniew ich i oburzenie? — Nie jest że dowodem nadmiernej pychy, prześmiesznej zarozumiałości i wysokiego mniemania o sobie, że — jeżeli raczyli przyłożyć pióro, to już nie innego, jak tylko arcydzieło stworzyli? Ale wiadomym jest, że nawet i arcydzieła nie wszystkim się podobają, każda zaś praca autorska skoro raz opuściła biurko pisarza i została rzucona na targ dla użytku publiczności, przestaje już być własnością pisarza i staje się własnością ogółu, który ma prawo niezaprzeczone nigdy i przez nikogo wydawać sąd swój, bez względu, czy ten sąd autorowi się podobą, czy jest słuszny, czy na błędnych oparty

podstawach. Tak ogół, jak i każda pojedyncza jednostka ma prawo krytyki. Jeżeli krytyka jest bezzasadna, albo krytykujący przeczył jakiś szczegół, lub nie zrozumiał myśli autora, albo w ogóle nie mógł odczuć znajdujących się w danym dziele piękności i według miary swojego sądu, poczucia estetycznego wydał wyrok potępiający — autorowi jedna tylko pozostaje droga: — przekonać krytyka o niesłuszności jego poglądów, wykazać nawet jego nieuctwo i siłą dowodów zmiażdżyć niefortunnego przeciwnika, który z motyką na słońce się porwał. To wolno każdemu, każdemu, którego ubodło czyjeś zdanie o jego wypowiedziane dziele. Jedni, pewni siebie, pomijają milczeniem napaści zoilów, inni — gorętszego może temperamentu — chcą zmusić do milczenia niepowołanych w rzeczywistości, lub według ich tylko mniemania niepowołanych — krytyków. Lecz w jednym i drugim wypadku, w sądach krytycznych i odpowiedziach na te sądy, powinna być zachowana pewna granica przyzwoitości, której bezkarnie przekraczać nie wolno. Krytyk — ma przed sobą *dzieło* i o niem tylko może mówić; autor — ma *sądy* o swojej pracy i sądom tym tylko może dać odpawę; lecz *osoby* — krytykowanego i krytykującego — powinny być nienaruszone: przegrywa ten sprawę, kto zabawia się w dotyki osobiste i, zapominając o dziele, napada na jego twórcę. U nas, niestety! zapomina się coraz częściej o tej zwykłej towarzyskiej grzeczności, powiem nawet wprost: uczciwości i nierzadko, polemika rozumnych ludzi przemienia się w brzydką polajankę, w jakąś burdę karczemną, a jak w ostatnim wypadku w napad uliczny, który opinia publiczna, dbająca o zagrożoną moralność społeczeństwa, bez wszelkich zastrzeżeń potępić jest obowiązana. — Nikt niema prawa wymierzać sam sobie sprawiedliwości i to w sposób, gdzie w grę wchodzi kije i — dwóch na jednego. Odstaliśmy bardzo od czasów rycerskich, osobista odwaga i śmiałe spojrzenie oko w oko — to już zabytki dawnych czasów: pycha i tchórzostwo coraz częściej okazują nam swoje oblicze.

Omawiany fakt napęłnił nas bólem i wstydem. Gdzie a gdzie i kto a kto — to *my* i *tutaj* właśnie, powinniśmy dbać o godność osobistą i szacunek. Jeżeli się pozbędziemy i tego — za wielkimi staniami się nędzarzami.

— Czuwajcie! albowiem godzina sądu nadchodzi, powiedział Pan.

— Czućcie! powinniśmy sobie powtarzać, bo ten strach sądu, jak miecz Damoklesa nad nami wciąż wisi.

O godność narodu musimy dbać i czuwać nad nią niezmięczenie po dniach i nocach. Wszystko, co jakąś szczerbę jej przynosi — z całą bezwzględnością potępione być musi, — nie o osoby tu już idzie, lecz o zasady. Powyższy wypadek, ażeby się nie powtórzył więcej, powinien być napiętnowany, — stać się pośmiewiskiem gawiedzi — to niezbyt zaszczytne.

— Panowie literaty pobili się — mówił stróż domu, w którym mieszkam do swojego sąsiada z przeciwka.

— To i co?

— Mądryś! a co dorożkarze robić będą?

Ha! — może nas uczyć przyzwoitości towarzyskiej — pomyślałem.

Tempora mutantur et nos mutamur in illis.

Minęło środopocie, niejednen garnek napęłniony popiołem roztrzaskał się z hukiem o drzwi sąsiada, ten się przeraził, ten parsknął śmiechem szerokim, lecz się nikt nie obraził, bo prastary zwyczaj silniejszy jest nad wszelkie względy i względziki i — bądź co bądź — zadość uczynić się mu musi.

O ile wiemy, zwyczajowi temu hołduje już tylko Stare-Miasto. Dziełnice nowe, owe dzielnice ludzi cywilizowanych, zapomniały o nim zupełnie. Jakby zresztą wyglądały schody o białych płytach z marmuru, pod skorupami garnków rozbitych?

— Shocking!...

Pocziwe Stare-Miasto, ty tego nie rozumiesz wyrazu i wierzę mi, że ci z tem stokroć lepiej. Prawda, że trzeba taktego zacofańca jakim jestem, aby z apostrofą podobną zwrócić się do ciebie, przyznając się jednak otwarcie do tego grzechu i sambyw nie jeden stłukł garnuszek, gdybym się na twoich śmieciach znalazł.

Tempora mutantur, prastare zwyczaje raz po raz chowają się za drzwi zamykającej się przeszłości, z wesołych dzieci stają się ludzie poważni, tylko, że to powaga ma coś trupięgo w sobie, nie rozkwita rumieńcem siły i życia i nie powiada, czy co następnym pokoleniom zostawi. Wszyscy i wszystko, jest w jakimś oczekiwaniu i niepewności. To charakterystyka nowych czasów i ludzi dzisiejszych. Ci, co z stłumionym śmiechem w piersi rozbijają garnki o drzwi sąsiada, mają coś jeszcze lepszego w sobie z tych dni wczorajszych, gdzie mniej rozumów, lecz więcej szczęścia było. Dla tego zwyczaj każdy, choćby sięgający zamierzonych nawet czasów, odrzuca myśl moją od nudnej powszedności dni obecnych i nurza ją, może w morze fantazyi, nie przecząc — ale mając pewien czar w sobie, ten czar — minionego.

Dziwny, niepojęty może przez wielu smutek ogarnął mnie na wieść o śmierci s. p. Leontyny Halpertowej. Gdy zasłużone laury zbierała na scenie teatrów warszawskich, nie mogłem jej widzieć, należąc do znacznie młodszego pokolenia; jako zgrzybiałej staruszki, nie znałem, a przecie, wiadomość o jej zejściu z tego świata, kilka rzewnych strun potrafiła w mej duszy.

Dlaczego?

Z pamięcią o nieboszczce złączyło się bardzo wiele innych pamięci. Przecz to jej współczesnikiem był sławny autor Momusa, Aloizy Żółkowski, przecz to ze wspomnieniem ich dwojga, tyle innych wspomnień napływa, jeżeli nie z historii, to w tradycyi żyjących.

Już to my dziwnie po barbarzyńsku z tą tradycją obchodzimy się. Barbarzyństwo to jednak jest bezwiedne. Słyszeliśmy nieraz od ojców i dziadków bardzo wiele ciekawych rzeczy, charakteryzujących doskonale czas, w którym żyli ludzie, z którymi ich łączyły przyjacielskie lub drogie stosunki. Wieleż to doskonałych anegdot wpadło nam w uszy, wiele dosadnych dowcipów i rymów okolicznościowych do zdrowego pobudziło nas śmiechu. Słuchaliśmy z zajęciem tych opowiadań i wspomnień, które urokiem czasów dawnych rozgrzewały serca drogie gawędziarzy, a na nas, obcym tym czarem i tym urokiem, spadały niby krople deszczów wiosennych — słuchaliśmy, a żadnemu z nas prawie na myśl nie przychodziło, aby to wszystko na papier przenieść i tym sposobem utrwalić, zacieraających się coraz bardziej kilka rysów przeszłości. A zresztą, może nie jeden i myślał o tem, ale widząc wciąż przed sobą twarze drogie opowiadaczy, na później odkładał skuteczenie swojego zamiaru, przecie i jutro i pojutrze zobaczy się z nimi, może jaki nowy szczegół przybędzie, uzupełnienie tej a tej opowieści. A tymczasem niespodziewana śmierć przyszła, i niezerwaną pieczęć przyłożyła na usta zwarte.

Poczuliśmy teraz wielkość straty, czas zatarł wspomnienia, pamięć nie dopisała i — pękła nie złota wiązka nas z czasami ojców. Przypominaliśmy sobie to i owo, ale niejedno nazwisko z jakiejś pamięciowej wypadło komórki, wspomnienia się splątały, zabrakło żywego słowa, które nie zamienione w kształty liter, bladym odbiciem barw niepewnych świeciło przed nami. I nie marzyliśmy nawet, że tem zaniedbaniem nie tylko siebie lecz całe współczesne nam i następne pokolenie skrzywdziliśmy srodze. Niejednen badacz obyczajów społecznych minionej chwili, wdzięczny nam byłby za świstek podobny, na pozór mało znaczący, lecz, jak z drobnych cegieł buduje się gmach wspaniały, tak z owych okrucich wspomnień przez naoecznych stwierdzonych świadków, tworzy się to, co wypełnia pewne rysy narodowego charakteru w danej epoce, mówi o życiu domowym ówczesnych ludzi, o ich towarzyskich stosunkach, radościach i smutkach dawnych, temperamentcie i ciepłoci krwi, fizycznym i moralnym zdrowiu. Mając dokumenta faktyczne o życiu, na przykład, danej prowincyi, okolicy nawet, czy nie ciekawą byłoby rzeczą to życie dawne z dzisiejszem porównać? Śmiano się i dawniej, a jednak ten śmiech może być całkiem różny od obecnego śmiechu; krajały i wówczas dowcipy, a jednak dowcip każdy miał pewną znamionną różnicę. Może był więcej szorstki lecz więcej miał w sobie szczeroci i prawdy, mniej elegancji, lecz wypływał wprost z serca żadną nie zaprawny kropelką gryzącą czasem bo-

lesnej ironii. Notatki takie byłyby nieocenionym materiałem dla pisarza historycznych powieści, bo nie panowania królów, nie wielkie bitwy główną ich stanowią zaletę, ale doskonały obraz opisywanej epoki, to życie całej masy narodu, na pozór w wypadkach nie odegrywające żadnej roli, lecz właśnie z łona swojego wydającej niekiedy mężów lub wielkich nieponiów. Pomijając nawet tak doniosłe znaczenie podobnych zapisek, czy jakiś szczegół z życia, na przykład, osoby nam dobrze znanej, dajmy na to, poety lub wojaka, nie byłby dla nas rzeczą ciekawą, a dla biografa pożądanym bardzo nabytkiem?...

Nie zaprzeczy nikt temu.

A jednak każdy z nas prawie mógłby coś przypomnieć z opowiadań babki lub dziada i każdy z nas prawie popełnił ów grzech zaniedbania, którego już dziś natrętna nawet pamięć nie znaże.

Do tych wielkich winowajców zaliczam i siebie. Miałem skarby tych wspomnień, sięgających nawet zeszłego wieku, z zapartym oddechem słuchałem opowiadań ojca i przeszło stuletniej babki — „kiedyś wszystko to spiszę“ myślałem, a tymczasem poprowadziłem ich do grobów. Zostało mi jednak coś w pamięci, lecz to, co zostało jest lichym strzępkiem listków pełnej róży.

O, jak ty marną jesteś — pamięci!

Przyszedł mi na myśl w tej chwili okolicznościowy wiersz Antoniego Góreckiego, którego mój ojciec znał dobrze. Zapisuję go na tem miejscu, lękając się, by ta niegodziwa pamięć i z tym okrucichem figla mi nie zrobiła.

Antoni Górecki był jakąś, ścisła go łączyła przyjaźń z domem państwa *** (Trzy krzyżyki... nazwiska mówionego mi przez s. p. ojca nie pamiętam). W owym czasie były w modzie, tak zwane, „Sztambuchy“, do których każdy, powołany czy nie powołany rymopis, parę słów wpisać musiał. Znajdowały się więc wiersze, zaczynające się od słów:

„Kochał Venus Minerwę u zielonej groty“...

Numa wychodziła za Pompiliusza, Amor ze złotym uwiązał się łukiem i ostrzem swej strzałki nie miłosiernie serca kaleczył.

Gwarno było w salonie państwa ****, młodziutkie dziewczę, córka gospodarstwa uwiązała się ze „Sztambuchem“, do którego mój ojciec parę słów napisać musiał. Ale oczy młodej paniutki wciąż zwrócone były na pana Antoniego, dla którego też i pierwsza karta pamiątkowego albumu przeznaczona była.

Górecki jakąś się po trosze, zaciął się szczególnie na wyrazach od *b* i *p* zaczynających się, co w młodej osobie niepowstrzymany śmiech wzbudzało, tak, że nieraz zaśmiała się nieroztropnie w same oczy żołnierza-poety.

Wojak poruszał wąż i straszną zemstę trzpiotowatej dziewczynie gotował. — Gdy z sztambuchem w rękę podbiegła, prosząc, by coś dla niej napisał, stary żołnierz nie namyslał się długo, lecz na wskazanej karcie, rozpoczynającej szereg upominków rymowanych, rzucił zamaszystym charakterem te słowa:

Tu, na tych kartach pamięć pozostanie wieczna,

Że — jam był zająkliwy, a pani — niegrzeczna...

I jakież ztąd czytelnik wysnuć może zdanie?

Że tu — winna natura, tam — złe wychowanie.

Krzyżową sztukę rąbał... Dziewczyna przeczytała wiersz i głośnym zaniósł się płaczem.

Nie tak nie rozbraja, jak płacz dziewczęcy — pan Antoni uczuł wyrzuty sumienia i żal szczerzy za dokonanie bolesnego figla. Wziął szybko z rączek rozplakanej paniutki książkę pamiątkową i pod powyższym wierszem napisał drugi czterowiersz, karcący siebie za zbytnią surowość, za niezrozumienie właściwej wiekowi wesołości, a przecie mu coś o tem powinno powiedzieć i doświadczenie lat długich i własnej młodości wspomnienie.

Tym sposobem na ranę ostrym cięciem zadaną znalazł się wnet balsam gojący; — na usta dziewczyny uśmiech powrócił, a pan Antoni mógł się już jakak spokojnie nie lękając się pustego śmiechu paniutki, której, na wspomnienie wiersza albumowego snuowały się wnet usteczka.

Ale chcecie wiedzieć łaskawi czytelnicy, jak brzmiała dosłownie odpowiedź?

Macie grzech, mój własny grzech przed oczyma. We właściwym czasie nie zapisało się wiersza Góreckiego—później, gdy opowiadacz nie stało,—pamięć zemściła się za opieszałość.

Mój Boże! jakby się to teraz pragnęło zawrócić odbiegłe już dni przeszłości; nie czułaby ręka zmęczenia, kreśląc gorączkowo takie wiersze Góreckich, przebrzmiałe a świetne mowy trybunalskie, rymowane przemowy do nowożeńców przez miejscowego kapelana od ołtarza rzucone, oracye podczas uczt biesiadnych, kapitalny żart jakiś i inne krotoczwile.

Zapóźny żal!

Cóż tam zostało w pamięci—ale tego już szczypta tylko.

„Mówię, bom smutny i sam pełen winy,“ mówię i dlatego, ażeby ci, co mają jeszcze kogo słuchać, nie obchodzili się tak lekkomyślnie z owemi skarbnymi wspomnieniami. Wdzięczna to praca, trud niewielki, a pożytek nie mały wypłynąć z tego może.

Dziwne jest to kojarzenie się myśli, dziwnym narzędziem jest ta dusza ludzka. Podobną jest ona do arfy o strunach naciągniętych, gdzie poruszenie jednej, wymaga drugiej odpowiedzi, dobytą dźwięk jeden szuka koniecznie wyrazu w akordzie pełnym. Wspomnienie o s. p. Halpertowej, przeniosło mnie mimowoli bez wyraźnego kierownictwa myśli, w czasy, w których się samemu nie żyło, a jednak znało tak dobrze. Z tym lotem duszy wzbudziło się tysiąc wspomnień i tysięcy żalów, że się tak z niemi po macoszu nie obchodziło.

Wybiegłem nieco za granice zwykłej pogawędki, pozwoliłem trochę własnym marzeniom się rozbujać, lecz mi tego nie weźmiecie za złe, bo dotknąłem przedmiotu, na który chciałbym, niejednego z was uwagę zwrócić. Wyrzuciwszy balast na duszy mi leżący, wracam do spraw codziennego życia, które są tak bezbarwne, że choć odrobiny tęczy z dni przeszłych rzucić by się na tę szarość pragnęło.

Rok bieżący jest rokiem jubileuszów ludzi i instytucji. Z dniem 19 Marca upłynęło lat 25 od założenia w Warszawie „Biura informacyjnego o nędzy wyjątkowej.“ Rozejrzawszy się, po upływie ćwierci wieku, w działalności tej dobroczynnej instytucji, widzimy całe doniosłe jej znaczenie i wzrost nieustający.

Myśl jej założenia powziął i ustawił jej opracował p. Cyprian Laechnicki, która w r. 1870 zatwierdzoną została przez ówczesnego namiestnika hr. Berga i z dniem 19 Marca t. r. rozpoczęła już swoją działalność. Ażeby dokładnie pojąć jej pożyteczność, musimy się zwrócić do cyfr.

W roku otwarcia Biura, t. j. przed dwudziestu pięciu laty, rozdano na wsparcie dla 890 rodzin i osób pojedynczych tylko rs. 3,637. W dziesięć lat później, t. j. w r. 1880 korzystało już ze wsparcia 1,403 rodzin, rozdana zaś summa dosięgła 11,906 rs. 43½ kop. W roku zeszłym summa wsparcia wyniosła 25,446 rs. 43 kop., którą obdzielono 3,319 rodzin i osób pojedynczych. Razem więc w ciągu swej działalności 25-cio letniej biuro udzieliło wsparcia na sumę rs. 338,262 kop. 87½, rozdzieloną między 51,379 rodzin i osób pojedynczych. Do zwiększenia dochodów biura a więc i summy wsparcia przez nie udzielonych przyczyniły się zapisy wieczyste, które wynoszą obecnie 29,500 rubli.

Na usługi „biura informacyjnego o nędzy wyjątkowej“ poświęciło się 6 siostr miłosierdzia ze zgromadzenia Sw. Wincentego à Paulo, one też zbierają wiadomości o biedakach, potrzebujących pomocy, szukają i wynajdują nędzarzy. Seseje stowarzyszenia odbywają się w czwartek, na nich to siostry przedstawiają listę ubogich i zaczerpnięte o nich wiadomości. Po wysłuchaniu relacji, obecni wybierają piętnastu najbiedniejszych z pomiędzy przedstawionych i nazwiska ich, wraz z adresem, idą na listę, która następnie drukowana bywa w dziennikach. Ofiary przyjmuje biuro (Tamka 35) i redakcyje pism warszawskich. Otrzymane zapomogi siostry w towarzystwie pań uczestniczek roznoszą potrzebującym. Biuro zapewnia też pomoc lekarską, bezpłatne lekarstwa, daje zapomogi na powrót do miejsc rodzinnych i pogrzeby. Nie lekamy się o przyszłość instytucji—Warszawa nie zapominała nigdy o wydziedziczonych

BLUSZCZ

OBRAZEK Z ŻYCIA RODZINY

przez

Maryana Gawalewicz.

(Dalszy ciąg).

V.

Wiosna zaczynała pachnieć w powietrzu.

Kwiecień co prawda bladą zielenią dopiero się przyszyjał i wianuszki sasanek udających fiołki spletał, ziemia zaledwie runiła się trawą, ale po niebie przemykały już coraz częściej jasne błyski słońca, jak wiosenne uśmiechy, budzące naturę do nowych godów.

U babci Lidzkiej otwierano już okna, z poza drzwi od balkonu wyjęto słomiany materac, oleandry wystawiono na słońce, klatkę z kanarkami wywieszano na dzień za okno a tylko na noc zabierano ją znowu do pokoju; dzieciom posprawiano nowe sukienki letnie i okrycia, a Pola dostała nowy płaszczyk kremowy i wspaniałą kapturek, w którym było jej tak ładnie, że się za nią na ulicy wszystkie panie odwracały.

Piastunka z niemi codziennie wychodziła w Aleje, do Botaniki i Łazienek, gdzie o południu matka spotykała się ze swoją trójeczką i prowadziła ją do mleczarni na drugie śniadanie.

Niekiedy ciocia Stasia przyjeżdżała do nich tramwayem i przywoziła im w koszyczku od babci bułeczki z konfiturami, ciastka i czekoladki.

Od czasu przeniesienia się do babuni Lidzkiej, opływały w łakocie i słodycze; dogadzano im więcej, niż we własnym domu, zabawek miały tyle, że same nie wiedziały, co z niemi robić. Psuła je babka, psuła ciocia, psuły sługi, psuł pocziwy Pantofel, który bywał codziennym teraz gościem i znosił ciągle rozmaite figielki własnego pomysłu i wyrobu.

Powoli też zapominały zupełnie, że nie są u siebie, że mają inny dom, swój własny, gdzie została Maryanna i wszystkie ich meble, i papuga, i Nero, i ojezulek.

O tego ostatniego dopytywały się wprawdzie ciągle, ale pogodzone były z myślą, że go niema i że nie prędko wróci.

Parę razy wprawili matkę w kłopot, ni ztąd ni zowąd zagadnawszy ją:

— A mama nie pojedzie do ojezulka?...

Odpowiadała im wymijająco, ale rumieniła się zawsze i ukrywała oczy przed dziećmi, których ciekawe spojrzenia ją mieszały.

— Dlaczego mamusia nie pojedzie?... niech mamusia zabierze i nas ze sobą, to się ojezulek ucieszy!—mówiły do niej, gramoląc się jej na kolana i pieszcząc ją swojemi pulchnemi łapiętami.

Uspakajała je obietnicą, że kiedyś tam, w lecie, jak będzie pogoda, to się wybierze z niemi, ale teraz jeszcze nie można, bo ojezulek daleko i jedzie się do niego przez taką dużą, dużą wodę, co się morzem nazywa a ta woda jest bardzo słona i pływają w niej takie duże ryby, jak statki na Wiśle a gdyby spotkały jakie niegrzeczne dzieci, toby tylko zrobiły: hap!... i od razu połknęły je na wieki wieków Amen.

Dzieciom się ogromnie takie ryby podobały i choć dużemi oczyma z podziwu patrzyły na matkę, dopytywały się ciekawie:

— Zrobią tylko: hap!—i już?... i już mamusiu?... A ojezulku nie zrobią: hap! jak będzie jechał po tem morzu?... nie zrobią, co?...

— Kiedy te ryby tylko niegrzeczne dzieci połkają,—tłumaczyła im.

— A ojezulek jest grzeczny?... a czemu kiedy ojezulek jest grzeczny, nie przyjeżdża tak długo?...

I znowu w kółko zaczynały się te same indagacye i to samo umęczanie matki zapytaniem, na

które musiała wymyślać dla nich coraz inne odpowiedzi.

Przedmiot to był dla niej przykry i drażliwy; uniękała go nawet w rozmowie z babką i siostrą, chociaż jej niezdecydowana sytuacja nastroczała codziennie niemal ten temat pomiędzy niemi.

Pozostawała przecież w zawieszeniu razem z dziećmi od chwili, gdy opuściła dom męża, odkrywając tajemnicę jego wiarołomstwa.

Nie wiedziała, co poczyni z sobą, co uczyni, co ma postanowić, pozostawała jeszcze pod wrażeniem tego uczucia żalu, goryczy, zawodu, jaki jej sprawiło przeszkanie biurka i korespondencyi mężowskiej,—była zawsze jeszcze ogłuszona tym wypadkiem i czekała, aż wróci trochę do równowagi.

Wszystkiego i tak nie opowiedziała babce; wstydziła się czegoś, zamykała jej coś usta, powstrzymywała od całej skargi, od użalań, od zupełnego zdemaskowania męża.

Jak pogorzelec, jak rozbitek siedziała w cudzym domu i czekała.

— Wszystko pomiędzy nami skończone, o wszystko!—myślała, ale lży jej przy tem w oczach stawały i czem więcej się upewniała w tem przekonaniu, tem ciężej jej było na sercu i tem trudniej przychodziło jej pogodzić się z tą myślą.

Wszystko skończone!... łatwo to ustom powiedzieć, łatwo głowie pomyśleć, łatwo rozumowi i ambicyi zawyrokujeć, ale nie łatwo sercu nawet skrzywdzonemu najbardziej, nawet obrażonemu najdotkliwiej wyczytać.

Miłość jest tykowaną rośliną, którą można po włókienku rozrywać, ale tak od razu, w oka mgnienia przeciąć ją potrafi tylko śmierć swoją kosą.

Dumne serca tylko przyznawać się do tego nie chcą, ale i one pod cierpieniem swoim, zawiedzione najmocniej, jeszcze ukrywają miłość i czują ją po tym bólu, który je trawi, że kochały i kochają i dlatego spokoju im odzyskać trudno, dlatego zobojeźnić nie mogą od razu.

Bo miłość miewa naturę chwastu, którego niepodobna wykorzenie tak całkowicie, aby choć ździebkiem nie odrastała.

Z dobrych, czystych, uczciwych serc kobiecych trudniej ją wyrwać, wypłenić tak, aby śladu nawet nie zostało, niż z męskich, bo kobieta w miłości oddaje wszystko, a mężczyzna najbardziej kochający, musi zostawić cząstkę chociaż swego „ja“ dla drugich i dla siebie.

Więc też jej trudniej odebrać siebie całą z zastawu miłości, a on choćby dużo stracił, jeszcze wszystkiego nie straci nigdy, i tą nie oddaną cząstką istnieć może, żyć i choć jaką taką równowagę w życiu utrzymać.

— Wszystko skończone!—powtarzała sobie biedna Wicunia, a czuła w najtajniejszej głębi duszy, że to nie prawda, że to nie może nawet być prawdą, bo choćby się i kochać przestali, to jednak nie przestali należeć do siebie, nie przestali w oczach Boga, świata, Kościoła, prawa, być mężem i żoną, a wobec dzieci własnych ojcem i matką.

Gdyby jeszcze tych dzieci nie było, możeby łatwiej znalazł się środek wyjścia z takiej sytuacji, ale przez nie, dla nich, z niemi te dwa wyrazy: „wszystko skończone“—były tylko pustym frazesem.

Alboż to można było tak łatwo skończyć!...

Babka Lidzka była o tyle delikatną, że nie spytała dotąd ani razu swej wnuczki:

— Cóż myślisz robić dalej?...—zostawiała jej czas do skupienia się, do rozważenia swego losu i przyszłości; spoglądała na nią jakimś litosnym, czułym okiem, ale pod współczuciem kryła się troska, a pod troską jakby zakłopotanie.

Nie wiedziała także, coby miała jej radzić, gdyby się kiedy zwróciła nagle do niej z zapytaniem:

— Moja babciu i co ja zrobię?...

Byłaby ją przytuliła do siebie, ucałowała w głowę, objęła ramionami, jak za owych czasów pensyonarskich, kiedy się z nią pieściła i gdyby miała być szczerą, musiałaby odpowiedzieć z westchnieniem:

— Czy ja wiem, moje dziecko!...

W pierwszej chwili, kiedy do niej przyjechała Wicunia z trójgiem dzieci, nagle, niespodziewanie, późnym wieczorem, gdy jej zmieszana, drżąca, blada, rozdrażniona, opowiadała o Walerku, zatrzęsła się aż z oburzenia na niego, na tę niegodziwość, przewrotność, lekkomyślność; wtedy byłaby

jej nie oddała mu za nic w świecie, choćby był na kolanach błagał o powrót żony.

Ale potem przyszła refleksja, na chłodno, zaczęła rozważać, rozbierać wszystkie za i przeciw, i chociaż przyznawała zawsze słusność Wicuni, że z takim mężem żyć pod jednym dachem nie chciała, doznawała jednak, jakby zawodu i zaniepokojenia.

— Co to jest?—mówiła sobie w duchu,—dlaczego on się o żonę ani o dzieci nie upomina? Cóż on sobie myśli?... to dopiero człowiek bez serca!

W tem oburzeniu na niego odzywała się jednak i troska kobiety doświadczonej, która przewidywała skutki takiego zerwania, i obawa następstw, szczególnie ze względu na najbiedniejsze zawsze ofiary małżeńskich zatargów—na dzieci.

Lidzka rozumowała po kobiecemu; trzymając stronę Wicuni i ubolewając nad jej położeniem, przyznawała jej zupełną słusność, ale jednocześnie lękała się, żeby tak stanowczy krok wnuczki nie wyszedł jej na złe i nie zaszkodził.

— Już to, co prawda, ona sobie trochę i sama winna,—mówiła, rozmyślając nad nią,—za dużo mu pozwalała od samego początku. Zepsuła go swoją pobłażliwością, oczy zamykała na wszystko, a mężczyźni nigdy nie można całkowicie zaufać. Niby to mój nieboszyk nie miał swoich figielków!.. miał i jeszcze jakie, ale się mnie obawiał i nie był nigdy pewny, czy go nie śledzę, nie podglądam i to go kępowało.... Kobiety lubi, bo któryż z nich nie lubi, może mnie tam kiedy—Boże mu odpuszc!—i zdradził, ale się z tem ukrywał, bo się bał; a Walery wiedział, że mu nie przeszkadza, że w kącie siedzi i z zamkniętymi oczyma mu wierzy. To złe, tak nie można, zwłaszcza z takim mężem. Żeby go była krócej trzymała, choćby się tam i pokłócili kiedy z sobą, to nie, nie byłoby jednak zaszło aż tak daleko!..

Zachodziła jeszcze jedna kwestya, którą trzeba było przecież kiedyś rozwiązać, kwestya czysto materyjalna.

Dotychczas o środkach utrzymania nie było mowy; Wicunia z dziećmi korzystała z gościny u babki i zajmowała swój dawny pokój paniński, niczego jej nie brakło wprawdzie, ale tak przecież długo pozostać nie mogło.

Należało pomyśleć o przyszłości i oprzeć ją na jakichś trwałszych, pewniejszych podstawach, trzeba było żyć z dziećmi—a z czego?..

Posag, wprawdzie troszkę już nadszarpany, zostawał w rękach Walerego; przecież go nie można było zostawiać mu, aby zmarnował wszystko.

— Ja tam z nią nie chcę mówić o tem,—powiadała do Stasi,—bo mi nie wypada, ale ty mogłabyś zrecznie ją wybadać, co myśli zrobić. Upomnieć się u niego o alimenty pewnie nie zechce, ja ją znam, a on jakoś sam się nie zgłasza z żadną propozycją i musi być kontent, że ma swobodę, odkąd mu się żona z dziećmi ustąpiła.

Stasia nie miała wielkiej ochoty podejmować się takiej misji i poruszać wobec siostry kwestyi tak drażliwej.

— Możeby, proszę babci, pomówić o tem z panem Ignacym,—odezwała się raz,—on przecież adwokat, to będzie najlepiej wiedział jak w tym wypadku postąpić.

Pan Ignacy Krotowicz był nową znajomością w domu Lidzkiej; siostra jego chodziła razem ze Stasią uczyć się rysunków i malarstwa do pani Owsikowej, mającej szkołę sztuki stosowanej, a przez siostrę młody mecenas zbliżył się do Stasi i zajął nią wcale poważnie.

Wypadło to właśnie w tych czasach, gdy Wicunia porzuciwszy męża, zniosła się z dziećmi do babki.

Lidzkiej ta propozycja jakoś się nie podobała; nie chciała w tajemnicę rodzinne wciągać człowieka, który był prawie obcym, jakkolwiek nie tał swoich zamiarów starania się o rękę drugiej jej wnuczki.

— Ach, moja kochana, ja nie wiem, czy to wypada,—tłumaczyła się przed Stasią,—znamy go tak mało, co on sobie pomyśli?... a potem... to go może zrazić...

— Do czego, babuniu?

— No, wiesz przecie, — jeżeli jest tobą zajęty, to...

— To co?..

— To... gotów...

— Chorągiewkę zwinąć?...—przerwała jej ze śmiechem Stasia,—ach, moja babuniu, gdyby go ten wypadek miał zreflektować i ostudzić w zapalach dla mnie, to nie miałabym o nim dobrego wyobrażenia. Bo babunia gotowa jeszcze biedną Wicunię zrobić odpowiedzialną za moje staropanieństwo, gdybym nie miała nigdy wyjść za męża, a cóż ona temu winna, że musiała porzucić złego męża?..

Stara zrobiła minę zakłopotaną.

— No, ona nie winna, ale widzisz ludzie takie rzeczy inaczej biorą. Młodego człowieka to nie zachęca wchodzić do rodziny, w której się podobne wypadki zdarzają.

Stasia nie odpowiedziała nic, ale się zamyśliła, rozważając słowa babki.

— Czyżby to naprawdę tak było?—zastanawiała się i jakoś straciła humor na parę godzin.

Pan Krotowicz jednak przychodził dalej po każdej leceki odprowadzać niby to siostrę do domu, ale przy tej okazji korzystał z towarzystwa jej koleżanki i przez całą drogę rozmawiał z nią głównie, zapraszając się pod różnymi pozorami do Lidzkiej, udając, że wcale nie zwraca uwagi na dziwną trochę pobyt zamężnej wnuczki wraz z dziećmi w domu babki.

Zbyt był dyskretnym, aby dać poznać po sobie, że wie cośkolwiek, albo że się za dużo domyśla w tej drażliwej sprawie.

Z Wicunią prowadził dłuższe rozmowy, unikając najłżejszej nawet aluzji do jej małżeńskich stosunków a obejściem bardzo uprzejmem i przyjacielskim umiał sobie od razu pozyskać jej życzliwość i sympatię.

Był dla niej z wielkim szacunkiem, który miał w sobie jakby odcień cichego współczucia, co ją szczególnie ujmowało dla niego.

Któregoś dnia—a była to właśnie niedziela palmowa przed Wielkanocnymi świętami—spotkał ją kupującą palmy przed kościołem i przyłączył się do niej, zapytawszy, czy pozwoli odprowadzić się do domu.

Przystąpiła na to, chociaż ją towarzystwo obcego mężczyzny na ulicy, zwłaszcza w usposobieniu, w jakim teraz była, kępowało.

Krotowicz jednak nie bez celu to uczynił.

Korzystając ze sposobności, chciał z nią porozmawiać o siostrze i wybadać, o ile jego zamiary mogłyby w danym razie mieć widoki powodzenia.

— Czy to prawda, że dzisiaj są urodziny panny Stanisławy?—zagadnął ją po kilku obojętnych zwrotach

— Prawda,—odrzekła, ale z jakimś odcieniem smutku, bo to jej przypominało, że tego samego dnia Walery po raz pierwszy jej o swoich uczuciach powiedział, gdy był u nich na herbacie wieczorem.

Urodziny Stasi były dla niej podwójnie pamiątkową rocznicą.

Wówczas jeszcze była tak naiwną i tak nim zajęta, iż jak relikwię schowała niedojedzony przez niego sucharek, na którym pozostały ślady jego zębów.

Pensyonarskie „durzaney“ trzymały się jej wtedy.

Na szczęście nie mogła, się rozdrażniać temi wspomnieniami, bo Krotowicz zajmował ją swoją rozmową i zadawał dalsze pytania, na które musiała mu odpowiadać przytomnie.

— Pani nie będzie kwestowała z panią Lidzką u Reformatów w Wielki piątek?—zagadnął ją znowu po kilku obojętnych kwestjach.

— Nie.

— Ale panna Stanisława będzie?

— O, Stasia będzie z pewnością; ona co roku kwestuje z babcią na ochronki.

Skreśli właśnie z Nowego Świata, kiedy na rogu Chmielnej wyskakiwał z tramwaju Grosiecki.

Dostrzegł zdaleka już żonę i zdawało mu się, że go również zobaczyła, tylko umyślnie odwróciła głowę i udała, że jest zajęta rozmową.

Towarzystwo nieznanego mężczyzny przy Wicuni zaintrygowało go.

— Z kim ona idzie?—pomyślał i uczył, że mu na widok żony, której dotąd ani razu nie spotkał, serce jakoś żywiej tłuc się zaczęło.

Zauważył, że była mizerna, zdawała mu się zmieszana, zmieniona, jakby szczuplejszą i wyższą, tak, że przystanął na rogu ulicy i patrzył za nią z żywym zajęciem, nie zważając, że go przechodnie potrącają.

— Skreśliła umyślnie w Chmielną,—mówił sobie,—abym jej z tym jakimś nie spotkał. Kto to być może?...

Przypuszczenia jego jednak były mylne; Wicunia nie dostrzegła go wcale, szła z głową pochyloną, jak zawsze, patrząc w ziemię, zajęta tylko swymi myślami i rozmową, prowadzoną z Krotowiczem.

Opowiadał jej właśnie, że marzeniem jego jest ożenić się, bo nie wie, co począć z życiem kawalerskim; już ma dosyć tej swobody, tych rautów, tych zaproszeń na wieczory, tego towarzyskiego bałamuctwa, które mu czas tylko nadarmo zabiera, a nie nie daje oprócz przesyty i nudy.

Mówił, że się czuje stworzonym na domatora i że sobie nie wyobraża większego szczęścia, jak w takim cichym, miłym, lubym kąciku z jaką dobrą, kochaną duszą, któraby mu się oddała i powierzyła swoje szczęście.

— Zdaje mi się, że panna Stanisława także jest domatorką?—wtrącił niby od niechcienia;—nie wiem tylko, czy gdyby wyszła za męża, nie zmieniłaby swego gustu.

— O, niema obaw!... czy pan uwierzy, że ona nigdy dotąd nie była na żadnym balu publicznym,—i ja też,—dodała z naiwną dobroduszością.

Szli dalej powolnym krokiem, nie domyślając się nawet, że są śledzeni.

Walery postępował za nimi w pewnej odległości i wyciągał szyję, by ponad głowy przechodniów, którzy mu zasłaniaли żonę i Krotowicza, mógł bez ustanku mieć na oku idącą przed nim parę.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, aby ich lepiej obserwować i silił się z fizyognomii, z ruchów odgadnąć o czem rozmawiali.

Obchodziło go to w tej chwili tem bardziej, że po raz pierwszy widział żonę z obcym mężczyzną; ciągle mu się wydawało, że go dostrzegli i starają się ukryć przed nim, zgubić go po drodze, umknąć mu, a im ani w głowie to powstało.

Z pewnego oddalenia obejmował okiem całą postać Wicuni, jej wysmukłą zgrabną figurkę, jej wiotką kibić, jej gibkie ruchy i mówił sobie:

— Jak ona dystygnowanie wygląda na ulicy!—jak gdyby tego nigdy dotąd tak dobrze nie zauważył.

Patrzył na nią, jak na obcą kobietę i podziwiał.

— Ale kto to taki być może?—co to za jeden?—intrygował go ciągle Krotowicz.

Nie podobał mu się właśnie dla tego, że był przystojny, elegancki, wytwornie ubrany i że z pozoru nadskakiwał jego żonie.

Budziła się w nim wraz z podejrzliwością zarazem ta zwyczajna, pospolita zawiść mężczyzny do współzawodników, zajmujących choćby opuszczone przez nich miejsce przy kobiecie.

Zazdrośnym był formalnie o niego.

Przychodziła mu myśl wyprzedzić ich i spojrzeć obojgu w oczy, ale się wahał; chciał się dowiedzieć wpierw, któredy pójdą, dokąd dążą.

Wicunia w czarnej sukiennej sukni, w zgrabnym kapelusiku dzetowym, niosła w jednej ręce otwartą parasolkę, w drugiej zieloną palmę.

Słońce złościło jej płowe włosy, na których jak stalowa łuska połyskiwały dzety wśród atlasowych wstążek.

— Szykowna kobieta! dalibóg, że szykowna!—powtarzał sobie w duchu i przyglądał się żonie z coraz większym zajęciem.

Jakaś myśl, jak cień przemknęła mu po czole, westchnął i na chwilę spuścił oczy.

Gdyby był ją samą spotkał, możeby mu się była nie tyle... podobała.

Skreśli w prawo i poszli dalej Aleją a Grosiecki szedł ciągle za nimi, bo go ciągnęło coś i nęciło nieprzeparcie.

Zirytowany był, zły czegoś i niezadowolony; nie uważał, że mu się ludzie kłaniali na ulicy, nie oddawał im ukłonów w roztargnieniu, bo miał oczy tylko dla tych dwojga tam na przedzie i prześladował ich wzrokiem wyteżonym zarówno, jak myślami.

— Aha, do domu wraca!—szepnął do siebie uspokojony—a on z nią idzie;... weszli do bramy!... teraz przyspieszę kroku, może mnie jeszcze zobaczą

I puścił się tak szybko, jakby ich dogonić chciał koniecznie i pokazać się im choć na chwilę.

Niechby wiedzieli, że ich podglądał; byłoby mu to zadowolenie sprawiło.

Gdy doszedł wszelako do kamienicy, w której mieszkała babka Lidzka, wpadł niemal na wychodzącego z bramy Krotowicza i zmierzył go surowym prawie spojrzeniem, ale młody adwokat nie zwrócił na niego uwagi; miał minę uśmiechniętą i zadowoloną, zajęty był jakimiś przyjemnymi myślami, które mu widocznie nasunęły ostatnie słowa przy pożegnaniu ze siostrą Stasi.

Grosiecki zatrzymał się, odwrócił i patrzył za nim czas jakiś, a potem machinalnie skierował się w tę samą stronę i postępował za Krotowiczem aż do Nowego Świata; widział, że wszedł do ogrodnika przy Smolnej, domyślił się, że idzie pewnie po kwiaty i nie namyślając się, wstąpił za nim również do sklepu.

— Czem panu mecenasowi służyć mogę?—powitał pierwszego gościa usłużny subjekt,—może świeże fijołki?... może ładny bukietek?... może koszyk?..

— Proszę pana o palmę, tylko dużą i trwałą,—odpowiedział mu Krotowicz, oglądając liściaste rośliny w doniczkach a podczas tego, gdy wybierał jedną z nich, Walery korzystał ze sposobności, by mu się przyjrzeć zbliska.

Badawczo przyglądał się jego fizygnomii, nie pomijając nawet najdrobniejszych szczegółów w ubraniu; zauważył, że miał krepę na kapeluszu, czarny krawat i perłową szpilkę w krawacie.

— Nosi żałobę,—notował sobie w pamięci,—musi być zamożnym, jest widocznie adwokatem. Znamy go tu, dowiem się jego nazwiska.

Krotowicz nie targując się, zapłacił za palmę i kazał ją ze swoim biletem odesłać.

— Pod jakim adresem?—spytał subjekt.

— Pani Lidzka, Aleje Jerozolimskie, numer...

Zawahał się, nie będąc pewnym numeru.

— Trzydzieści pięć,—omal nie wyrwało się z ust Waleremu, ale w porę ugryzł się w język, nie chcąc się zdradzić.

Krotowicz własnoręcznie adres wypisał na kopercie, i poleciwszy, aby roślinę natychmiast odesłano, wyszedł ze sklepu.

— Palmę jej posłał!—pomyślał Grosiecki i uczuł wielką ochotę roztłuc doniczkę i strącić nogami ten liściasty podarunek.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Druga żona pana Tanqueray, sztuka w 4-ch aktach A. Pinero, z angielskiego.—**Cały los**, krotoczwila Rufina Morozowicza.—**Ciepła wdówka**, komedia w 3-ch aktach Michała Bałuckiego.

Z trzech sztuk, o których obowiązek sprawozdawcy pisać mi nakazuje, pierwszeństwo daję wyjątkowo utworowi obcego autora przed swojskimi, nie dlatego, żeby na to wartością swoją zasługiwał, ale żeby się z nim jak najprędzej uporać, tem bardziej, iż po krótkim żywocie legnął już w pyłe bibliotecznym teatru Rozmaitości i chyba nie go więcej do światła kinkietów nie wskrzesi.

„Druga żona pana Tanqueray“ jest mezaliansem scenicznym francuskiego tematu z angielską pruderyą.

A. Pinero, autor bardzo zabawnej farsy p. t. „Błękitna grotka“ przerzucił się jednym skokiem w krainę wręcz przeciwną i spróbował sił swoich w poważnym dramacie, który na gruncie angielskim nabierał nawet pewnego odcienia tendencyjności; wystąpił bowiem przeciw małżeństwu lordów z kameliowymi damami i zająć chciał stanowisko Barrier'a czy Augier'a nad Tamizą.

Może tam sztuka jego posiadała pewną aktualność i nowość; u nas straciła tę cechę oryginalności nie tylko pod względem treści, ale i faktury, nie mogła ani zająć ani wzruszyć tak głęboko, bośmy

widzieli całe tuziny podobnych sztuk na naszej scenie, lepiej, efektywniej, prawdziwiej i śmiej napisyanych.

Pan Tanqueray robi dwa kapitalne głupstwa; jako mężczyzna nie pierwszej młodości (ma bowiem już córkę na wydaniu) żeni się powtórnie a co gorsza, żeni z kobietą upadłą, na której przeszłość zamyka „jedno oko, bo drugim widzi dobrze niebezpieczeństwo, jakie grozić może jego jedynaczce w obcowaniu z macochą, która zasad moralności nie brała zanadto seryo w swoich latach dziewięćcych. Odsuwa też zresztą a przezornie swoją Helenkę z domu, w którym panuje Paola, druga jego żona i jej dawniejsza towarzyszą, z czasów swobodniejszej konduity.

Ztąd rozterki, kwasy, niezadowolenia w małżeńskim pożyciu państwa Tanqueray, zwłaszcza przy hysterycznym usposobieniu samej pani.

Przeszłość jej nie daje się nadto zatrzeć zupełnie, bez śladu i jak mściwa Nemezis staje niespodzianie, w bardzo co prawda wyszukanej sytuacji, ale bądź co bądź staje i sprowadza katastrofę.

Pierwszy kochanek dzisiejszej lady Aubrey, a dawniejszej Paoli Rey, kapitan Ardale, zjawia się jako narzeczony Heleny i oko w oko staje z jej macochą, która nie zbyt dawno jeszcze była jego... dobrą przyjaciółką.

Kolizja fatalna, której inaczej rozwiązać nie można, tylko przez zerwanie projektowanego związku lub usunięcie Paoli.

I bohaterka pana Pinery rozwiązuje sama sytuację, popełniając samobójstwo, aby małżeństwo młodej pary mogło dojść do skutku.

Nie kwestyonuję praktyczności takiego rozwiązania w życiu rzeczywistym, ale można powątpiewać czy subtelne poczucie honoru pana Tanqueray'a pozwoli mu mimo wszystko oddać córkę swą człowiekowi, który był pierwszym kochankiem jego drugiej żony, zwłaszcza po jej gwałtownej śmierci.

I sytuacje, i figury, i zagmatwanie intrygi wraz z zawikłaniem wydają się sztuczne, nie dosyć naturalne, psychologicznie mało umotywowane a w każdym razie bardzo wyjątkowe; autor jest jednak utalentowanym pisarzem scenicznym i o teatralny efekt dbałym, więc na oko sztuka jego wydać się mogła dobrą, zwłaszcza że sceny komedyczne i odświeży humor wynagradzały widza za melodramatyczne rozdrażnienie, wywoływane poważniejszymi momentami akcji.

Szkoda było bardzo pracowitej i dobrej gry p. Marczellówny w roli bohaterki, jak i udziału pp. Ładnowskiego i Nowickiego w tej efemerydzie repertuaru.

Z placu teatralnego zbaczam na chwilę w zaułek ulicy Daniłowiczowskiej, aby choć kilkoma słowami wspomnieć o oryginalnej nowości na scenie Teatru Małego. Utwór oryginalny na tych deskach to *rara avis* i należy mu się ze strony krytyki trochę więcej uwagi i względów, tem bardziej że był on debiutem niejako nowego pisarza, który niezaprzeczoną swoim talentem scenicznym pozyskał sobie w publiczności dużo sympatii i uznania.

Pan Rufin Morozowicz, filar operetki i krotoczwili w Teatrze Małym, napisał trzy aktową sztukę p. t. „Cały los“, a reżysseryą wystawiła ją z koleżeńską gotowością starannie i bez długich zachodów.

Szkoda, że autorstwa swego p. Morozowicz nie ukrył pod pseudonimem, byłaby może pewna część krytyki z mniejszym uprzedzeniem patrzyła na tę pierwszą próbę pióra, nie szukając w niej aktorskiej rutyny i reminiscencji komika, który w tyłu cudzych sztukach występował, że tem samem musiał w jej przekonaniu swoją własną zlepić tylko z przejętych pomysłów.

Tymczasem tak nie jest; w zasadniczej idei krotoczwila ta nowego nie przynosi, to prawda, ale w scenicznym opracowaniu, w szczegółach, w drobnych rysach obserwacji, w pogodnym humorze, który ją całą przenika, jest dużo oryginalnej заслугi autora a w kilku scenach widnieje prawdziwa zdolność, nie dosyć tylko wywieszona i dojrzała pisarską praktyką.

Ze pieniądze są probierzem moralnej wartości człowieka i nie zawsze dają mu szczęście i zadowolenie—to prawda stara i wielokrotnie stwierdzona.

P. Morozowicz jeszcze raz użył ją za motyw do krotoczwili, w której małomieszczańska rodzina państwa Bibińskich z łaski Fortuny staje się po-

siadaczem „całego losu“ i wygrywa krocie, przenosi się do Warszawy i rozpoczyna nowe życie na bruku wielkiego miasta.

Majątek topnieje w ryzykownych przedsiębiorstwach, w rękach znęconych złotym blaskiem przysięgi i wyzyskiwaczy, którzy korzystają z próżności i naiwności dobrodusznych prowincjonalistów, a wreszcie w wydatkach na wystawne życie; zubożali znowu Bibińscy powracają na partykularz do swego korzennego sklepu, nauczani doświadczeniem, że prawdziwie szczęśliwym ten, co na swoim poprzestawać umie.

Wszystko to wkrótce wprawdzie sprawia wrażenie uszczelnionej humoreski z morałem w bajce na końcu, ale nie powiem, aby nie zajmowało i nie bawiło, nie rozśmieszało nawet bardzo dobrimi pomysłami i komizmem sytuacji zwłaszcza w akcie drugim i trzecim.

Jest w tej galerii figur trochę szablonowych kilka typów świeżych, jak np. wyborczy typ łobuza i naciągacza w osobie młodego Bibińskiego, który „fajgle“ pożyczają od wszystkich, aby miał za co w bilard grać i hulać z przyjaciółmi po knajpkach.

Za dużo tylko drobniarzędowej obserwacji władował autor w swoją krotoczwilę, jakby mu żal było każdego podpatrzonego rysu, skutkiem czego porobiły się dłużyzny, przyszytych na następnych przedstawieniach reżysserskimi nożycami.

Gdyby się mnie p. Morozowicz spytał: co zrobić, czy zrazić się surową krytyką czy próbować sił dalej, odpowiedziałbym mu życzliwie:

— Próbuj pan swoich sił w nowej sztuce i naśladowaj Goldoniego, który na krytyce i publiczności szukał odwetu w ten sposób, że ją przymuszał śmiać się i klaskać na nowej komedii, gdy poprzedniej nie oceniła należyte.

Zasady tej trzymał się w życiu i Bałucki i jeżeli nie zawsze wygrywał sprawy z krytyką, to na pewno zwyciężał publiczność, bo krytyka lubi obstawać przy swoim nawet wtedy, kiedy nie bardzo ma rację i kiedy się raz do czego lub kogo uprzedzi źle czy dobrze.

Po „Flircie“ z dużym powodzeniem scenicznym, przyszedł „Bajki“, które tego powodzenia nie miały a w znacznej części nie tylko z własnej winy, ale i z winy niefortunnnych eksperymentów obsady w głównej roli. Trzeba było to wrażenie naprawić i oto w krótkim czasie po „Bajkach“, wyprowadził Bałucki swą „Ciepłą wdówkę“ na scenę.

Zasadniczy pomysł nie jest nowy, to prawda; ta bogata ciocia Strońska, która pomimo swoich lat czterdziestu i siwych włosów ma więcej powodzenia od swojej kuzynki, panny Feli, dlatego tylko, że posiada krociowy majątek, nie należy do figur niebywałych na scenie. Figiel z pozbyciem się dobrowolnym mienia na korzyść Feluni, aby wyprowadzić w pole wszystkich zakochanych niby to konkurentów, nie stanowi także całkiem świeżego dowcipu. Wszystko to już po trosze było, ale pomimo tego, gdy się taki majster scenicznego kunsztu, jak Bałucki zabierze do roboty, to i z tych nie nowych rzeczy stworzy jednak całość tak zabawną i wesołą, że się publiczność śmieje, jakby nigdy nie podobnego nie widziała.

Zbyt pochopna do nagany krytyka zarzuciła mu, że się powtarza, że wprowadza typy i sytuacje użyte już w „Klubie kawalerów“ i w innych swoich komediach.

Bardzoby to być mogło u autora, który przez lat trzydzieści kilka zasilał scenę swojemi utworami i tych figur całe setki wprowadził na deski a był zawsze sobą, zawsze oryginalnym i swojskim, nigdy nie przypominał nie i nikogo; zarzut ten przeto nie powinienby znowu tak bardzo obciążać autora i zaważyć na szali oceny jego ostatniej pracy, bo nie dobrze wprawdzie powtarzać samego siebie, ale gorzej bywa, gdy autor powtarza innych, a to niestety o wiele częściej się zdarza.

Zresztą, nie powiem nawet, aby w „Ciepłej wdówce“ przypominały się za bardzo te same figury, któreśmy w innych komediach Bałuckiego już widywali. Są typy podobne, ale w odmiennym gatunku i w nowej kombinacji ze sobą, jak np. ów papa Łapiszewski, który do wód przywiózł swe dwie odchowane córki a sam siebie próbuje dla dobra dzieci ożenić. I te córki, choć tylko jako sylwetki nakreślone, świadczą znowu o bystrzej i nie słabnącej obserwacji autora; jedna jest ma-

larką, druga literatką a obie w manierach swoich i w stosunku do ojca stanowią okazy bardzo charakterystyczne.

Przypuśćmy jednak, że te drugoplanowe figury nie wystarczają krytyce, polujące koniecznie na „nowość“, (choć jest między niemi wyborna i całkiem nowa postać p. Zupkiewicza, restauratora), to przecież na pierwszym planie jest tam bardzo żywy i niezużyty dotąd typ młodego artysty, siostrzeńca pani Stroińskiej, który w malarskiej cyganerii zagranicą nabrał charakterystyki bardzo wydatnej i gdyby trochę powściągliwiej używał knajpiarskiej gwary, która razi biednej kuzynce Feli odmawia posagu, ma tyle rysów charakteru już, nie tylko typu w sobie, że w komedii zajmuje miejsce pierwszorzędne.

Dobry, dzielny, uczciwy w gruncie chłopak, który swą szczerość posuwa nawet wobec bogatej ciotki do szorstkiego weredyzmu, wyrzucając jej, że na starość myśli o złowieniu męża a biednej kuzynce Feli odmawia posagu, ma tyle rysów charakteru już, nie tylko typu w sobie, że w komedii zajmuje miejsce pierwszorzędne.

Swoją werwą i humorem ożywia on każdą scenę, w której bierze udział i zdobywa sobie i autorowi zasłużone oklaski (zwłaszcza w tak dobrej grze, jak p. Wolskiego).

Jest w „Ciepłej wdówce“ jeszcze jedna zaleta, coraz rzadsza w utworach scenicznych ostatniej doby a mianowicie przewaga dodatnich rysów i jakiegoś serdecznego ciepła, które przenika głębiej figury sztuki; pogodniejszy światło padło na ten obraz, w którym satyra nie kąsa, komizm nie przedrwiwa i nie wyszydza cynicznie, humor nie ma żółciowej przymieszki w sobie. Z tego powodu całość przedstawia sympatyczne wrażenie i pociąga do owej pocziwej, rozumnej, filuteriej trochę ciotki, która sobie zażartowała ze wszystkich, uchodząc za taką, co to chce się za mąż wydać i samolubnie myśli tylko o sobie a nie o szczęściu drugich: w zakończeniu sztuki kojarzy sama małżeństwo Feli z Antosiem, a rękę swą oddaje dawnemu przyjacielowi młodości, Dr Bolimowskiemu, który przed 25-ciu laty napróżno się o nią starał, a teraz spotkał ją owdowiałą w kąpielach i przekonał się, że „stara miłość nie rdzewieje“.

Zbytecznem byłoby przy komedii Bałuckiego mówić o tych charakterystycznych cechach jego talentu, które go tak wyróżniają wśród naszych autorów, którym zawdzięcza to gorące uznanie, wziętość i sympatię, przez trzydzieści kilka lat zdobywaną na wszystkich scenach polskich, a które mu osobną kartę zapewniły w dziejach teatru i literatury dramatycznej. Niech się nawet powtarza, byle pisał dalej z tą samą werwą i zacięciem, z jakim „Ciepłą wdówkę“ utworzył, bo mnoży się wprawdzie zastęp takich, którzy zamasyżycie o scenie piszą, ale takich, którzyby dla niej pisać dobrze potrafili na palcach u nas policzyć można.

Artyści grali sztukę Bałuckiego bardzo starannie i z humorem; szczególnie wyróżnić należy p. Barszewską w roli tytułowej i p. Wolskiego, jako młodego malarza.

M. Gawalewicz.

Kilka kartek z życia.

(Dalszy ciąg).

D. 16-go Stycznia.

Nie miałam pojęcia, żeby można do tego stopnia żyć zabawą, jak ja teraz. Literalnie wszystkie myśli i czynności około niej się kręją. Nie robię już sobie z tego skrępułów jak dawniej. Po pierwszych balach ogarnęła mnie dziwna martwota i smutek. Nie wiem, co wpłynęło na ten pesymizm, ale otrząsnęłam się już z niego całkowicie. Teraz robi mi przyjemność znaleźć się w rześisto oświetlonym salonie, słuchać dźwięków doborowej muzyki, błyszczyć piękną suknią—no i urodą, (trzeba być szczerą z sobą, zanadto mi wielu o niej mówią, żebym w nią

w końcu uwierzyć nie miała), — płynąć w walcu, w rozkosznym walcu lekko jak motylek... Jestem skończonym motylkiem—to prawda, ale cóż ja temu winna, że mnie losy w tem położeniu postawiły? Z początku chciałam płynąć przeciw wodzie—ale nie tylko biegu wody nie zmieniałam, ale wyczerpałam do ostatka siły, poraniłam dłonie, i opuściłam je wreszcie dając się unosić prądowi.

Karnawał mamy, ale „używamy go dobrze, nie tracimy czasu“ jak się wyraża pan Gustaw. Jesteśmy już w zgodzie z sobą: on zapomniał mi urazy—ja zaś czułam się w obowiązku wynagrodzić mu przykrość—nieporozumienia prowadzą widać do zgody. Wszyscy już mówią o tem głośno, że jest zdeklarowanym konkurentem. Wszędzie jest z nami na balach, w teatrze, na ślizgawce. Mój cień, jak go nazywają żartobliwie panny. Truchleję coby to było, gdyby mi się oświadczył? a jest to wielka możebnością, gdyż w tym świecie poznanie, oświadczenie i ślub szybko po sobie następują.

Trzebaby się wcześniej nad tą kwestyą zastanowić, a nie mam odwagi... W ogólności wyłomaczyłam sobie teraz zwyczaj zastanawiania się nad każdą rzeczą—to niebezpieczne; prowadzi do niezadowolania z siebie i drugich—ale pytanie pana Gustawa może mnie niespodzianie zaskoczyć, a wtedy... O! lepiej być pod bronią—rozważyć chłodno wszystkie za i przeciw, aby pod chwilowem wrażeniem stanowczej decyzji nie wydać.

Rodzice nie tylko chcą, ale żądają, abym przyjęła pana Gustawa. Nie wiem co w tem mają, ale papa najwyraźniej powiedział:

— Zgubisz nas, jeżeli będziesz grymasić.

Życzenie rodziców chciałabym spełnić jeśli, jeśli tylko sumiennosc mi pozwoli. Ależ ta sumiennosc właśnie u różnych ludzi, różne ma znaczenie, a nawet w moich pojęciach uległa pewnym zmianom. Niedalej jak pół roku temu, oburzałam się na samą myśl oddania ręki człowiekowi, dla którego nie miałabym całego uczucia i całego szacunku—teraz zaczynam się oswajać z myślą, że to jest *le mal necessaire*.

Nie kocham pana Gustawa, ale mi nie jest wstrętnym—stosunkowo miłszym może niż inna młodzież, która u nas bywa.

Możebym go i pokochała, ale go mało znam, a on o ile jest uprzejmym, uprzedzającym, bez zarzutu—o tyle maska światowego ugrzecznienia nigdy go nie opuszcza. Nie widziałam nigdy, aby czemkolwiek szczerze się zajął, żeby coś nim wstrząsnęło, coś ten wiecznie ugrzeczniiony stereotypowy uśmiech z jego twarzy spędziło: to albo wielkie panowanie nad sobą, albo wielka pustka. Jestem wielką pesymistką i przypuszczam to ostatnie—zresztą nie wyróżnia się tem od reszty naszej młodzieży, nazwanej złotą, prawdopodobnie dlatego, że dużo tego szlachetnego kruszcu potrzebuje, więcej częstokroć niż go mieć może. Oni wszyscy jak jeden mąż z solidarnością godną lepszej sprawy do jednego dążą: to jest do dogodzenia tym tysiącym zachciankom zbytku i próżności, które nazywają patetycznie niezbędnymi potrzebami—wszyscy pragną odegrać rolę wielkich panów, pcjmując ją jako łatwe używanie, wyrafinowane gusta, wreszcie niewolnicze obserwowanie pewnych form—o obowiązkach jakie to stanowisko nakłada, o ogólnoludzkich celach, które uświęcają życie jednostek—nie mają pojęcia.

Probowałam raz tego tematu z panem Gustawem; mówił poprawnie—pięknie—ale ja, co doszłam do doskonałości w obserwacji, w odgadywaniu drugich—sposprzegłam; że jest to tylko dobrze wyuczona lekcja.

Gdybym mogła mieć isierkę nadziei, że spotkam kogoś co mi odpowie—ale wiem, że nie znaję... a więc... robię się bardzo praktyczną—prawdziwie dzieckiem tego wieku.

Jeszcze jedno moje marzenie rozbija się o twardą rzeczywistość—tylko ten cios przyjmuję, już z lżejszem sercem, bo sama pozbyłam się wielu niepotrzebnych mrzonek idealizmu. Trzeba brać życie takie—jakim jest—żadne reformatorstwo nie pomoże. I cóż to za nieszczeście będzie, choćbym się i zgodziła na Gustawa? Będą mieć znaczenie majątek, swobodę, wszystko... oprócz wysnionego szczęścia... nieznośny sceptycyzm.

Zaczęło się moje narzeczeństwo „najciekawszy rozdział z romansu“ jak twierdzą mężatki młode, albo usiłujące być młodem, z uśmiechem bardzo zagadkowym. W obec kółka najlepszych znajomych (zebrało się jednak kilkadziesiąt osób) książ biskup włożył nam na palec pierścionki, śliczne pierścionki, trzeba oddać słusznosc. Mnie na chwilę żywiej uderzyło serce, że jedno ogniwo przyrzeczenia już nas spaja z Gustawem. Spojrzałam widać na niego cieplej i jaśniej niż zwykle, bo on przycisnął rękę moją do ust mówiąc:

— *Comme tu es belle aujourd'hui.*

Ach gdybyż był powiedział wtedy: „moja serdeczna“ jużby zagarnął częstkę mego serca, które już gotowem było pokochać go—ale to powiedzenie: „Jesteś ładną“ zmroziło mnie—wróciłam do dawnej miary.

— *Je suis tout à fait correcte* — zaczynam przybierać nawet frazesy tego świata, do którego wchodzi, a z którym dotąd tak mało oswoić się umiałam. Niedługo zarzucę muzykę, do której takie istotne mam zdolności, pióro, książki i tym podobne bagatelki dla obmyślenia tualet, prozonych obiadów, przyjęć i t. d. Tymczasem ze smakiem zjadam cukierki, których dostarcza mi mój narzeczon, z przyjemnością odbieram bukiety, z zadowoleniem idę do teatru, z dziwną filozofią zapatruję się na wszystkie kwestye, które dawniej mnie gorączkowały.

Jedna rzecz w tem wszystkim bardzo mnie cieszy to, że rodzice bardzo są szczęśliwi z mojej decyzji. Ojciec od niejakiego czasu bardzo zmizerniał, zamyśla się, po nocach nie sypia, zamyka się z swoim adwokatem i długo coś rozprawia—potem przychodzi wzburzony i nie w usta wziąć nie chce.

Nie rozumiem co to znaczy, bo papa nie ma zwyczaju, ani mamie, ani tembardziej mnie mówić o interesach. Tylko na wspomnienie o Gustawie rozpromienia się, ożywia, ściska mnie—całuje—to nie widziane dawniej u papy objawy.

Za parę dni jedziemy za granicę dla ukończenia wyprawy. Pan Gustaw wkrótce tam ma przybyć—ale co jeszcze przedtem do roboty!... ile wizyt pożegnawych, żeby nikogo nie obrazić, żeby nikogo nie pominąć.

Papa taki zmieniony, że mnie się aż serce ściska, mimo to wszędzie jest z nami.

Ja proszę, błagam, czyż to już konieczne ze szkoda zdrowia tak niewolniczo obserwować te formy światowe.

— To są obowiązki towarzyskie, od których uchyłać się nie można—powtarza papa.

Obowiązki towarzyskie! ileż to one odejmują czasu rzeczywistym obowiązkom!

D. 15-go Marca, Paryż.

Tyle rzeczy nowych, tyle rzeczy pięknych, przesuwają mi się przed oczyma w tej podróży, ale dla mnie jakby nie istniały... Trzeba mieć usposobienie do odczuwania piękna i wrażeń, mnie przysłania to wszystko niepojęta tęsknota; truje mnie na każdym kroku przecucie czegoś złego. Pan Gustaw miał przyjechać od tygodnia—a tu ani jego, ani żadnej wiadomości od niego nie ma. Ojciec coraz wyraźniej mówi o złym stanie naszych interesów. Więc to prawda, że moje zamążpójście jest tą fatalną koniecznością, która ma być rodzinie zapewnić. Teraz rozumiem wszystko—nie rozumiem tylko tego wyjazdu za granicę, tego zbytkownego trybu życia.

To udawanie napełnia mnie wstrętem nie do opisanania. Będę mieć wielką pokusę powiedzieć panu Gustawowi o moich obawach. Czemuż on nie ma prawdy wiedzieć? Czyż nie lepiej, gdy się o niej dowie przed ślubem—potem mógłby mi wymówki robić...

Ojciec z nieopisanym niepokojem wyglądał każdej poczty, każdego pociągu, a po każdym zawodzie coraz głębsze bruzdy występują mu na czoło. A może... może pan Gustaw przeczuł także katastrofę, i dlatego się opóźnia... Czyżby nas opuszczał w takim razie? Odpędzam tę myśl daleko od siebie—i tak mi smutno!...

Ojciec po odebraniu jakiegoś telegramu wyjechał na parę dni za interesami, zostawiając nas same. Nie mogę się opędzić czarnym myślom. Dzwonek... czyżby to Gustaw?

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZWYCIĘŻONY

OBRAZEK SCENICZNY W JEDNYM AKCIE

przez

TOPORA.

(Dalszy ciąg).

Róża. Niestety! Te piękne historyjki, które mateczka tworzy gwoli zbudowania mnie, nie trafiają jakoś do mego przekonania. Gdybym mogła nosić okulary... ale matowe, koniecznie matowe (*śmieje się*) i jeszcze umbrelkę nad czołem, jak ciocia Filipka.

Marya. (*uśmiechając się*). Dzieciaku, swawolny dzieciaku!

Róża. (*kłując głowę*). Sensatko, niepoprawna utopistko! żyjesz złudzeniami o prawdzie, pięknie a tymczasem, kiedy ich szukać? Prawda, to taki *rara avis*, że się jej nie spotyka prawie. Piękno... no tak, piękno istnieje ale tylko w przyrodzie. U nas na wsi, była śliczna polanka w lesie, przez którą mknął po kamykach strumyczek kryształowy, szlakiem niezapominając ujęty!

Marya. Ja więcej pięknych rzeczy widziałam... Raz naprzykład idąc ulicą, postrzegłam jak zabrudzona w łachmanach dziewczynka, potknęła się i upadła. Nim podejść zdążyłam, młodziutka panienska z teką nut pod pachą, podbiegła żywo i nie zwracając uwagi na zlepienie brudem, stargane włoski płacząc, ni na łachmany i powalana buzię, głaskać i tulić ją poczęła. „Co cię boli?” pytała. „Gdzie jest twoja mama?” a potem, śniadanie, które dla siebie niosła, dziecku oddała. Wierzaj mi Różo, widok ten, wydał mi się piękniejszym niż twoja polanka.

Róża. (*zmieszana*). Drobnostka! Nie było w pobliżu chorego psa ani kota, więc ratowałam dziecko.

Marya. (*śmiejąc się*). Właśnie. I ja tak przypuszczałam.

Róża. (*śmiejąc się także*). Najpiękniwszem było to, że kiedy mała zjadła już moje śniadanie i ból jej dokuczać przestał, pokazała mi język i uciekła.

Marya. (*tlumiąc śmiech*). Nie myślałaś chyba o podziękowaniu, podejmując ją z ziemi.

Róża. Oczywiście. Czworonożni jednak, nie byli by się na ten koncept zdobyli. Wierz mi Maniu, psy chore, i zgłodniałe, które mama ztąd pozwoiliła mi na wieś do nas odesłać, gdy wracam, witają mnie szalonymi objawami radości! pocziwe psiska! (*Buja się na fotelu, po chwili*). I to jest także jeden więcej bodziec do pracy dla mnie. Gdy twoja niepoprawna Róża, Maniu, da koncert, pierwszy dochód z niego posłuży na wybudowanie przytułku dla koni dźwigających ciężary nad siły, dla bezdomnych psów i kotów...

Róża. (*przerwywając*). Dla bezdomnych sierot...

Róża. Ani myślę! To pole dla filantropów, poszukujących rozgłosu. Byłoby zaraz mniej o jeden raut, a jeden koncert, o jeden bal, o jedno widowisko amatorskie. O czem by zresztą gazety pisały?

Marya. Doprawdy, nie wiem już czy się śmiać, czy płakać nad tobą. Ależ Różo, złośliwą się stajesz... W każdym przedsięwzięciu, choćby najpiękniwszem chcesz coś czarnego wynaleźć, i, wynajdziesz, bo prawie zawsze tak bywa i inaczej być nie może.

Róża. (*wzrusza ramionami*). Chcę? (*melancholijnie*). Gdyby mi powiedziano, że za jakie lat tysiące, zabłądzą powtórnie na ten najpiękniejszy ze światów, to bym przedewszystkiem prosiła, aby

w chwili urodzenia, wylupiono mi oczy i przytępiłoby bębni słuchowe.

Marya. (*śmiejąc się*). Pozostawiając różowy języczek, który jak miecz ciąć umie.

Róża. Oby cię istotnie! Może wypłeniłby nareszcie fałsz, plotkarstwo, obłudę, kłamstwo i tyle innych wstrętnych rzeczy, trapiących ludzkość.

Marya. Bocianie, bocianie! Szkoda twoich młodych skrzydeł! Spadniesz ze swego wysokiego stanowiska oczyszczania ziemi...

Róża. (*szybko*). Z gadów, płazów i drapieżnych zwierząt...

Marya. A czyż ty nie jesteś drapieżne ptaszę? Rzucasz się i napadasz bez wyjątku na wszystko i dziwisz się potem, a może cię to i boli, że p. Henryk nie znając pięknych stron twego charakteru, pomawia cię o oschłość serca i wyrabia sobie w ogóle o tobie sąd niepoehlebny i fałszywy.

Róża. Taak? A cóżem ja temu winna, że on nosi różowe okulary?

Marya. A któż tobie nosić każe czarne?

Róża. Ja się nie uprzedzam Maniu. Powiem ci nawet, że ta niewiara, ta niechęć do ludzi, bardzo mi jest bolesną. Wciąż szukam i patrzę i wyciągam ręce ku twym prawdom, w które mama i ty wierzyć mi każecie (*kłując smutno głowę*). Nie mogę ich jednak odszukać!

Marya. Bo nie chcesz.

Róża. Przeciwnie. Powiedz mi np. czy to nie oburzające? Chcąc w sercach kobiet naszych obudzić współczucie dla cierpiących, potrzeba uciekać się do sztucznych środków, podniecających cnotę miłosierdzia. Więć bał, kwiaty, karneciaki elegancie, muzyka, flirt!... I wtedy dopiero, damy nasze tańczą z ochotą dla tych, którzy płaczą, flirtują dla tych, którzy są głodni i t. d. i t. d.

Marya. (*z wahaniem*). Chęć rozrywki nie jest grzechem przecież.

Róża. Zapewne. I ja lubię się zabawić; tylko, że to u nas te sztuczki zanadto w zwyczaj weszły. Chcesz zobaczyć odwrotną stronę medalu? Mam nadzieję, że cię przekonam. W zeszłym roku gdy mama wyjechała, bawiłam kilka tygodni u cioci radczyni. Wypadła właśnie zabawa, z której dochód przeznaczono na zasiłek, nie pomnę już jakiej instytucji dziecięcej. Wujostwo byli gospodarzami, Tynia i Fema miały sprzedawać programy. Jak dotąd wszystko w porządku: lecz co się okazało: najprzód pogniwiała się ciocia z wujaszkiem. Boże, co ten biedny wujaszek wycierpiał! Przy śniadaniu, przy obiedzie, przy kolacyi powtarzała mu ciocia bezustannie: „Mężu wykup moje klejnoty z lombardu” a wujaszek wciąż jedno. „Nie mam pieniędzy moja droga... musisz się obejść.” Ciocia jednak nie chciała słuchać o gospodarowaniu na zabawie bez kolii i koleczyków. Oczywiście wujaszek pożyczł pieniędzy i klejnoty wykupił. Nie na tem koniec! Fema z Tynią stoczyły wojnę o świeże suknie. Biedny wujaszek, sprzedał pianino, a kupił suknie. A co się działo podczas ostatnich paru tygodni przed balem, trudno opisać. Bolek, wychodził do szkoły bez śniadania i w brudnym kołnierzyku, wujaszek gdy wracał z biura, zamiast obiadu dostawał herbatę z serdelkiem, ciocia siedem razy w tygodniu miała migrenę. Coraz nowe były udęczenia. Gdym nareszcie podczas owego balu—bo i mnie ciocia wzięła z sobą—zobaczyła wujostwo z pożyczanymi uśmiechami na twarzach zmęczonych, gdym usłyszała, jak moje kuzynki, podając programy gościom, szeptały słodko: „To dla ubogich piękne panie, dla ubogich panowie...” tom się ledwo wstrzymała, aby nie zawołać: ależ wyście stokroć od tamtych uboższe!

Marya. (*śmiejąc się*). Ach, ty główko zapalona! Słusznie jest co mówisz, bylebyś tylko w przesadę nie wpaadała. Ciocia radczyni...

Róża. (*przerwywając*). Znów pewnie powiesz, że jednostka... a tymczasem, ileż się takich jednostek znajdzie. Czy ciocia bez tego wszystkiego nie mogła ubogim dopomódz?

Marya. Zapewne!

Róża. A wiesz Maniu, jaki mnie znowu sen po tej zabawie nawiedził? Gdym zmęczona wrażeniami zasnęła, śniłam, że zamieniona w atom jakiś drobniutki, szybowałam w powietrzu wysoko, wysoko po nad dolinę wesołości i światła. Z gór, płynęły tam kryształowe potoki, łąki szmaragdowe nęciły wzrok kwieciami barwistym, chaty stały schlu-

dne i białe... Gromadki dzieci tęgie, zdrowych z brylantowymi oczkami i perlistymi wybuchami śmiechu, przewracały się po łące; zrywając kwiaty, pijąc ożywczy napój z kryształowych potoków, radując się słońcu, tańcząc, śpiewając... Zawieszona na szerokim liście wspaniałego klonu, przyglądałam się z rozkoszą wesołej dziatki igrasze. „Jak tu pięknie!—wołały.—Jakie słońeczko jasne, jakie powietrze czyste!...” Gdy noc potem zapadła, na niebo szafirowe wypłynął księżyc, mirjady gwiazd złotych towarzyszyło mu, puszyste chmurki białe, uciekały przed nim jak gdyby zalekłe. W tem chmurka jedna oderwała się od gromady innych i płynąc zaczęła ku ziemi. Z chmurki owej, wysunęła się postać anioła o wejrzeniu słodkim i uśmiechu miłości pełnym. Usłyszałam szept, jak gdyby ktoś z lekka struny arfy eolskiej potracił... „Pójdę tam, kiedy zamiast lampy niebieskiej noc chmurna panuje, zamiast wesołości i gwaru, cisza żałoby... kiedy nie zabłądziło oko ni stopa ludzka...” Drobnny pyłek mego „ja” przyczepił się do śnieżnych skrzydeł anioła i poszybował z nim razem w krainę smutku i mroków posępnych. Droga do niej nie łatwą była. Kałuże błota, z których płynęły ku nam zgniłe wyziewy, ostre kamienie i ścieżki kręte... Chaty w okół zapadły... ni trawy zielonej, ni drzew, ni potoków, w których przegląda się słońce. Kraina umarłych... pomyślałam z trwogą. Wśród ciszy ozwał się szept... „Pójdźcie do mnie wy wszyscy, którzy smutek i nędzę w dumnej piersi kryjecie... Pójdźcie maluczy, którym płaczący głos matki lub natarczywa prośba ojca, nie otworzą drogi do miłosierdzia, pójdźcie ofiary nikczemności ojców i słabości matek, którym od urodzenia piętno występuku nosić każą...” Z chat w ziemię zapadłych, z kałuż tych błotnistych, podnosić się ku nam zaczęły drobne żyjątka o cerze wybladłej, nagich członkach, rozszerzonych od głodu żrenicach... Anioł biały pochylił ku nim słodkie oblicze i wskazał uśpioną obok dolinę wesołości i światła. W przestrzeni ozwał się jęk słaby, jak gdyby wiatr, konary zeschłych drzewin potracił. „Nikt o nas nie wie... zaszeptały zsiniałe z głodu i zimna usta. Droga ku nam wiedzie wśród kałuż błotnistych, ostrych kamieni i wybojów pełna...” Z oczu anioła spadała drogocenna perła. W obłoki, uniosły się dusze tych nieszcześliwych, co nie zaznali, ni słońca promieni, ni opieki. Nikt o nich nie wiedział, gdy cierpieli... (*Pochyla głowę i zasłania oczy*).

Marya. (*wzruszona tuląc Różę*). Różyczko najdroższa!

Róża. (*ocierając łzy*). Ach Maniu! Te małe istotki pozbawione pieczęci słońca, chłonne, ociemniałe, lub przez skrofuly toczone i ci starec bezdomni, nie zdolni do pracy, z piętnem głodu na twarzy. O! to okropne! (*uśmiecha się smutnie*). A świat piękny taki... tyle karet przebiega ulice miasta... tyle piesków faworytów spoczywa na kolanach swoich opiekunek... tyle pieniędzy tracimy na fatałaszkii...

Marya. Nie trapi się dziewczeczko i twoich protegowanych odnajdą. Cierpliwieci!

Róża. Niestety! Tyle jeszcze istot bezmyślnych po świecie chodzi... Doprawdy, jak Spartanie niedołążne dzieci, tak ja, te lalki nasze salonowe, usuwałabym z powierzchni ziemi.

Marya. Już wpadasz w zapał!... Gdyby cię kto posłyszał, p. Henryk naprzykład? O ile mi się zdaje, wielokrotnie już irytował go sposób twojego traktowania rozmaitych kwestyi (*patrzy w oczy Różę*). Różyczko, powiedz, czy ty go kochasz?

Róża. (*ukrywając głowę na piersiach Maryi*). Więcej, niż wypowiedzieć mogę.

Marya. To odkryj mu skarby swojego serca jak mnie naprzykład...

Róża. (*z uporem*). Nie chcę. Powinien mnie znać, (*słuchać dzwonek*). Wizyta, a mamy nie ma.

Anusia. (*stając we drzwiach*). Proszę pani, p. Lesicki (*znika*).

Marya. (*zbierając kajety*). W tej chwili powrócę (*wychodzi na lewo*).

Róża. (*przyciska rękę serce*). Z pewnością zdradzi mnie błądność, albo rumieniec (*wchodzi Henryk*).

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Ministerium rolnictwa pragnąc rozpowszechnić między kobietami wiejskimi i mieszkankami małych miasteczek wyrób domowego płótna i tak zwanych wełniaków, zamierza zakupić znaczną liczbę kołowrotków na którychby przędzono len i konopie, oraz wełnę w okolicach, gdzie przemysł ten domowy nie został dotąd podjętym.

— Celem ułatwienia kontroli nad nabiałem, przywożonym do Warszawy i miast innych, władza miejska nakazała osobom dostawiającym go, aby naczynia w których mieści się mleko, lub śmietanka, miały napis odpowiedni, że przecież wypełnianiem to nie bywa, poleconem zostało wójtom gmin podmiejskich, aby dozór w tym kierunku był należyty. Wykonywanie tych przepisów obostrzono odpowiedzialnością sądową.

— Warszawska rada miejska dobroczynności publicznej zatwierdziła zapisy testamentowe ś. p. Anny Zalewskiej legujące: 1.000 rs. dla Warszawskiego Tow. Dobroczynności, 1.000 rs. dla chrześcijańskiego szpitala dziecięcego i 1.000 rs. dla Przytułku paralityków imienia Feliksa Sobańskiego. Rada zatwierdziła również zapis ś. p. Maryi Dąbrowskiej, legującej 150 rs. War. Tow. Dobroczynności.

— Z zapisu ś. p. Emilii Matyasek trzy wdowy niezamężne po artystach muzycznych, będących członkami Towarzystwa wzajemnej pomocy artystów, oraz ich wdów i sierot, otrzymały wsparcia: jedno w sumie 35 rs., dwa po 25 rs. Do grona członków rzeczywistych weszło pań dziesięć, a to: Borzęcka Apolonia, Borzęcka Helena, Babel Marta, Chęcińska Zofia, Dydyńska Jadwiga, Fijałkowska Stanisława, Hertzler Marya Ludwika, Mestenhauzer Franciszka, Narożna Antonina, Niklewicz Janina, Oksiuk Helena.

— Prezesową bardzo pożytecznej i bardzo poczytywanej instytucji Schronienia dla sług jest od samego jej założenia księżna Włodzimierzowa Czetwertyńska; wiceprezesową została obecnie p. Katarzyna Szwedowa.

— Komitet pań Towarzystwa opieki nad zwierzętami wygłosi w ciągu wielkiego postu nową serię odczytów z celem takim samym jak poprzednie, a to na druk i rozdawanie broszurek bezpłatnych o litościwem obchodzeniu się ze zwierzętami.

— Na smutny brak filantropijnej pracy kobiecej, a to wznoszenia ochron, zaliczyć trzeba okrutny wypadek w powiecie płockim, w osadzie Bielsk, zaszły d. 25 zeszłego miesiąca. Emilia Chojnacka, wdowa, wyszedłszy z domu zostawiła samotnie jedenasto miesięczną dziecinę w kołysce; w izbie przebywające też prosię wyjadło część twarzy dziecka, które umarło w okrutnych cierpieniach.

— W d. 1-ym bieżącego miesiąca nczestniczki komitetu Kolonii letnich zapisały na liście kandydatów 270 dzieci, a to: 137 chłopców, 317 dziewcząt. Rodzice obowiązani są przychodzić z dziećmi. Superwizya lekarska odbywać się zacznie z d. 1-go Kwietnia, trwając do 9 Maja, dokonywana codziennie przez czterech lekarzy, udział w tej pracy przyrzekły p. p. Higersbergerowa Wanda, Krysińska Jadwiga, Szadkowska Wiktoria, Żurkowska Marya. Prace przygotowawcze już się rozpoczęły: szyje się bielizna i odzież przeznaczona dla dzieci. Przesłano też zapytania do czterestu ziemian, którzy w roku zeszłym spełnili dobry uczynek przyjęcia biednych tych maleców, czy i w tym roku nie odmówią im przytułku?

— Bardzo liczne grono pań, bo więcej niżeli pięćdziesiąt, zebrało się w lokalu Towarzystwa ogrodniczego na pierwszą demonstrację poświęconą przesadzaniu roślin doniczkowych: palm, figusów, azalii i innych. Specjalista doświadczony wykazywał zarazem warunki obchodzenia się z roślinami, które upiększają mieszkanie, więc wnoszą tu pierwiastek estetyczny, potrzebny kobiecie, która powinna z jednej strony uczynić mężowi życie wspólne przyjemnem, z drugiej rozbudzić w dziecku poczucie piękna, nietylko umilające nam życie, ale odgradzające nas przez wyrobienie smaku estetycznego od poszukiwania przyjemności grubych, zmysłowych.

— Gazeta Lubelska donosi o zamiarze założenia w Lublinie mleczarni spółkowej, stawiając zarazem pytanie, zali to nie wytworzy nadmiaru produkcji mlecznej, a skutek tego nieunikniony obniżenia się cen, ponieważ spółka otrzymywałaby mleko z dwudziestu dwóch dominium, od 700 krów. Przecież rozsyłanie do miast większych, do Warszawy, do Łodzi mogłoby się procentować, obliczono jednakże, że wydatki na potrzebne wtedy urządzenia wymagałyby 12.000 rs. Spółki nabiałowe, zawiązywane w różnych odpowiednich temu okolicach, podwyższyłyby mogły znacznie dochód z mleczywa, czyniąc tę gałąź pracy kobiecej korzystniejszą, niż była dotąd, ale potrzeba tu kapitału nakładowego.

Z bieżącej chwili.

— Przy jednym ze szpitali Moskwy otwartą zostanie z funduszu prywatnych pracownia bakteriologiczna. Pracować tu będzie czternastu lekarzy, pracownia posiadać ma na usługi swoje dwadzieścia koni. W moskiewskim klubie myśliwskim ogłoszono konkurs w zakresie hodowli ryb i rybołówstwa; udział brać tu będzie czarnomorskie towarzystwo rybackie, towarzystwo hodowli ostryg, oraz uniwersyteckie muzeum zoologiczne.

— W Tyflisie szerzą się rozboje. Fabryka żelaza wzniesiona w pobliżu stacyi Udżecra, została w dzień jasny zrabowaną, lecz oddział wojska dopędził rozbójników, przyczem poległo dwóch żołnierzy a kilku otrzymało rany. Dla ochrony od napadu rozbójników, rozstawiono w różnych punktach, jako strażę ochronną, posterunki żołnierzy z zapasami amunicji.

— Jego Ekselency arcybiskup Popiel zwiedził w towarzystwie miejscowego plebana, ks. Siewierskiego, wszystkie miejsca na których radzono wzniesienie kościoła na Woli, i oświadczył, że według jego zdania plac przy zbiegu ulicy Wolskiej i Obozowej wydaje mu się najodpowiedniejszym. Takim też jest zdanie ks. Siewierskiego, tu zatem stanie ten dom boży.

— W Salonie Artystycznym na Nowym-Swiecie otwarto wystawę specjalną kilkunastu obrazów, przesłanych za pośrednictwem agencji artystycznej w Brukseli „Rubens Club”. Mamy przecież i nasze dzieła sztuki, z którymi należałoby się zapoznać przedewszystkiem; „Kuryer Warszawski” przypominał właśnie, że po zmarłym już dziesięć lat temu znakomitym rysowniku i sztycharzu, Henryku Redlich, pozostała znaczna ilość nieznanych ogółowi, bo nie rozprzedanych rysunków, które zebrane razem z temi, o których już wiemy, jak portret Jeża i kopia Madonny Rafaela, mieszczące się w Salonie Artystycznym, wytworzyłyby całość, wy-

kazującą znaczenie dla sztuki naszej prac zmarłego. Płyty sztycharskie z obrazu Branta „Hejże na Sołpice” i Chełmońskiego „Oberek”, pozostałe po zmarłym, mogłyby rozpowszechnić te sympatyczne i zawsze miłe dla oka przedmioty sztuki rodzimej.

— W Radomiu otworzył pracownię rzeźbiarską p. Stanisław Czarnowski, radomianin, wykształcony w sztuce swojej w krakowskiej akademii Sztuk Pięknych.

— Dr. Stanisław Smolka, sekretarz generalny krakowskiej Akademii umiejętności wydał list otwarty, w którym wykazuje potrzebę konieczną wyższego uposażenia tej instytucji naukowej, pobierającej rocznie tylko 16.000 złr. reń., obok 15.000 złr. reń., na rozszerzenie gmachu Akademii. Dotychczas sprawy wewnętrzne tej instytucji naukowej nie były ogłaszane ogółowi, który przecież potrzebuje znać stan instytucji swoich i wiedzieć, jakie są ich potrzeby, odpowiadające postępowi czasu. W skutek tego koło polskie obradowało w Wiedniu nad budżetem ministerium oświecenia, a profesor Piniński oświadczył, iż wniesie rzecz w sprawie powiększenia subwencji dla krakowskiej Akademii Umiejętności, oraz w sprawie pomnożenia liczby inspektorów szkolnych w Galicji. Poseł Chrzanowski żądał, aby budżet zamieścił 200.000 złr. reń., na restauracyą Wawelu, która to suma spłaconą być by mogła w dziesięciu ratach, po 20.000 złr. reń.

— Niższa szkoła rolnicza, czwarta w Galicji, powstanie wkrótce w Brzeźnicy pod Stryjem, oraz piąta w Krośnie.

— Przedstawienia pasyjne, urządzone według wzoru odbywających się w Oberammergau w sławnych na świat cały obrazach męki Pańskiej, urządzone zostaną we Lwowie, w teatrze Skarbka, rozpoczynając się z d. 8 kwietnia. Obok śpiewów chóralnych i muzyki orkiestralnej, przedstawienie dramatyczne będzie „Głos S-tej Teresy”. Krasieńskiego, „Tobiasza” Stefana Witwickiego, „Mękę Pańską” i „Pójdźmy za Nim” Heuryka Sienkiewicza, ułożony na scenę fragment dramatyczny przez Zygmunta Przybylskiego.

— Śmierć zamknęła oczy człowieka, pełnego energii i siły woli, którego życie można nazwać poematem. Władysław Kościelski, urodzony w r. 1830-go, w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, w Korczynie, dziedzicznej posiadłości rodziny Kościelskich, odslugując powinność wojskową zakończony został wypadkiem, który zmienił kierunek całego jego życia. Był to pojedynek, w którym zabił w Berlinie oficera niemieckiego i musiał wyjechać z kraju. W czasie wojny krymskiej służył w szeregach tureckich i otrzymał godność baszy, nie porzucając przecież religii chrześcijańskiej, a wysłany przez rząd turecki do Egiptu, został tam wysokim dygnitarzem Izmalla baszy, z którym wiązała go wieloletnia i prawdziwa przyjaźń. W 1870 r. stan jego zdrowia nakazał mu wyjazd do Gleichenbergu, w którego pobliżu nabył starożytny zamek Bertholdstein, z należąca doń rozległą posiadłością ziemską, na której gospodarował z wielkim zamiłowaniem, gromadząc obok tego zbiory starożytności i sztuki. Przyjechał tam raz do niego w gościnę Izmalla basza, odwiedził go również złożony z tronu król Milan serbski, oraz książę batenberski po opuszczeniu Bułgarii, aż oto wybiła mu godzina ostatnia.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza” dołącza się powieść **Za cudzą winę**, przez autorkę powieści „Silny duch”. Przekład z niemieckiego ark. 10.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ?? — **Bluszcza**, obrazek z życia rodziny, przez Maryana Gawalewicza (dalszy ciąg). — **Przegląd teatralny**, przez M. Gawalewicza. — **Kilka kartek z życia** (dalszy ciąg). — **Zwycięzcy**, obrazek sceniczny w jednym akcie, przez Topora (dalszy ciąg). — **Kronika działalności kobiecej**. — **Z bieżącej chwili**.

Dodatek obejmuje: **Za cudzą winę**, powieść przez autorkę powieści „Silny duch”, przekład z niemieckiego arkusz 10. — **Przegląd mód**. 30 wzorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie**. — **Dyspozycya stołu**.